

# ZESZYTY WOJNICKIE



ISSN 1232-4310

nr 6 (62)

rok VI

czerwiec  
1997

cena 1zł 30 gr

Miesięcznik Historyczny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Wojnickiej

*Alojzy Zdeb (Kraków)*

## Opowieść matki i ojca spisana przez syna w Wielkiej Brytanii

Pan Alojzy Zdeb z Krakowa przekazał nam do publikacji spisaną przez siebie opowieść Rodziców: Marii z Jaroszków i Jana Zdebów z Mikołajowic. Niezwykłe były koleje ich życia. Jan Zdeb, żołnierz kampanii wrześniowej po klęsce dostał się do niewoli rosyjskiej a następnie walczył w Armii gen. Władysława Andersa. Po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii, gdzie zmarł w 1966 roku. Maria Zdeb wraz z córką Heleną wyjechała z Polski do męża w 1957 roku i tam już w swej „drugiej ojczyźnie” pozostała. Mieszka w Cambridge.

W 1957 roku p. Alojzy Zdeb udał się na krótko do Wielkiej Brytanii, aby po 18 latach rozłąki spotkać się z Ojcem. Tam spisał jego wspomnienia z wojennej tułaczki, które jako cenną pamiątkę rodzinną przechował do dziś. Przez długie lata, z powodów politycznych, wspomnienia nie mogły być w Polsce popularyzowane a tym bardziej drukowane. Był tego świadomy Jan Zdeb, gdy w 1957 roku mówił: „Syn spisał moje wspomnienia (...) z nadzieją, że nadejdą w Polsce czasy, kiedy będzie można je przekazać innym....” Z całą pewnością chciał opowiedzieć o swych losach, losach kolegów i Polaków nie tylko najbliższemu członkowi rodziny, ale wszystkim. Czas taki nadszedł a publikacją tą, nie bez wzruszenia, spełniamy jego wolę.

Dziękujemy również sędziwej p. Marii Zdeb za uzupełnienie wspomnień męża.

*Redakcja*

### Opowiada Maria z Jaroszków Zdeb

W grudniu 1957 roku wraz z córką Heleną wyjechałam z Mikołajowic do męża, który po długiej tułaczce wojennej zamieszkał w pięknym akademickim mieście Cambridge w Anglii. Wówczas nie zdawałam sobie sprawy, że będzie to moja druga Ojczyzna. Choć potem dwukrotnie odwiedziłam

dzieci i rodzinę w Polsce, wracałam do tej drugiej Ojczyzny, do córki i wnuczek, ale przede wszystkim dlatego, aby po śmierci spocząć obok zmarłego w 1966 roku mego najdroższego męża. Tak sobie przyrzekałam.

Urodziłam się w 1902 r. w Mikołajowicach koło Wojnicza z Anny i Michała Jaroszków. Wyszłam za mąż za Jana Zdeba z Mikołajowic. Przed wybuchem wojny obdarzeni czwórką dzieci żyliśmy skromnie a nawet biednie. Praca na roli dawała nam ledwie szansę przeżycia. Mąż był pracowity i bardzo ambitny, podejmował się każdej pracy zarobkowej i po wielu miesiącach starań udało mu się zatrudnić w Zakładach Azotowych w Mościcach. Codziennie wczesnym świtem wyjeżdżał zaprzęgiem konnym, aby przewozić różne materiały budowlane po terenie Zakładów. Była to dla nas duża pomoc finansowa dająca perspektywę modernizacji zabudowań gospodarskich, kupna opału i odzieży dla dzieci.

Mąż interesował się polityką, był gorliwym patriotą, bronił spraw chłopskich. Z pracy przynosił różne wiadomości, dzielił się nimi z kolegami, rodziną i sąsiadami. W sierpniu 1939 roku skończyła się jego praca w Zakładach Azotowych, dostał wypowiedzenie. Za parę dni dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny. Mąż otrzymał kartę mobilizacyjną, miał się zgłosić we Lwowie. Od tego momentu zaczęła się gehenna naszego życia.

W dniu 1 września mąż udał się do kościoła w Wojniczu i do Wiekiej Wsi, aby pożegnać się z bratem Józkiem. Ja zajęta byłam pieczeniem, by męża wyposażyć w prowiant. Przyszła do mnie sąsiadka Strojna, pocieszała mnie i zapewniała o swej pomocy, gdy męża mego nie będzie. Naszą rozmowę przerwał olbrzymi huk i ciemny dym, który momentalnie zasłonił okna. Gdy wybiegłyśmy na podwórze, kłęby ognia i dymu spowijały stodołę, od której w okamgnieniu zapaliła się strzechy domu. Przerażone, nie byłyśmy w stanie uwolnić konia, krowy i świń. Krzyczałyśmy o pomoc i ratunek.



W okolicach Bagdadu

W ciągu kilku minut przybiegli z pomocą sąsiedzi. Z palącej się stajni udało się im wyprowadzić zwierzęta, pies uwiązany do budy przy stodole spalił się żywcem. Straże pożarne, miejscowa i okoliczne, przyjechały z dużym opóźnieniem. Pożar strawił stodołę ze zbiorami i dom, a stajnia spaliła się częściowo. Później, już, w czasie okupacji, wyremontowaliśmy ją i mogliśmy w niej zamieszkać. Było to jedno pomieszczenie o wymiarach 3 m na 5 m, bez kuchni i światła. Sąsiedzi widzieli lecący nisko samolot niemiecki, który zrzucił jakiś przedmiot na nasze zabudowania, okazało się, że była to bomba zapalająca. Mąż dowiedział się o tym nieszczęściu już w drodze powrotnej z Wielkiej Wsi.

Błagałam wraz z dziećmi męża, aby nas w tej ciężkiej sytuacji nie opuszczał, takie nieszczęście przecież go usprawiedliwi! Jego narada z kolegami nie przyniosła zmiany decyzji - za dezercję grozi kula w łeb - tak nam tłumaczył. Dnia 2 września 1939 roku o 9-tej godzinie mąż pożegnał się z nami, rodziną i przyjaciółmi i razem z Wojciechem Kurasiem udał się na stację kolejową w Bogumiłowicach, skąd o godzinie 10-tej odjechał pociągiem towarowym w stronę Lwowa.

„Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani...” - lubił widocznie wojsko, bo piosenki wojskowe często nucił. Ale też przemyslał i to, że zostanie aresztowany, gdy nie pojedzie na wojnę. Bał się, i to sprawiło, że mnie zostawił z czworogim małych dzieci. Córka, najmłodsza, miała tylko trzy lata, a synowie 5, 7 i 9 lat. Jaką przeżyłam rozpacz i ile uroniłam łez, to tylko jeden Bóg wie.

Wielką pomoc, wsparcie moralne i finansowe otrzymałam od najbliższej rodziny, sąsiadów i wielu mieszkańców Mikołajowic, jak np. od Józefa Skórki, Piotra Gajdura, Piotra Gdowskiego, Jana Blachy i innych. Mimo biedy w tamtych odległych czasach każdy z mieszkańców Mikołajowic starał się nam pomóc i dawał choćby kilka snopków zboża. Tak to zapamiętałam i z wdzięcznością przypominam z odległego Cambridge, aby młodsze pokolenie (moi rówieśnicy już w większości nie żyją) wiedziało o ofiarności swych rodziców.

W 1957 roku mój syn Alojzy po raz pierwszy był w Anglii i mógł po tylu latach zobaczyć Ojca. Nie było to łatwe, bo starania o paszport i wizę trwały osiem miesięcy. Syn wysłuchał wspomnień wojennych Ojca i jego kolegów z wojska i spisał je.

## Opowiada Ojciec Jan Zdeb

W tym towarowym pociągu wiozącym nas do Lwowa większość chłopaków była w dobrym humorze, śpiewali piosenki. Ja jechałem z rodartym sumieniem. Zastanawiałem się czy dobrze zrobiłem (ratując skórę przed sądem wojskowym), pozostawiając żonę i dzieci bez dachu nad głową i pozbawiając je mojej pomocy. Nie mogłem zasnąć. Pocieszał mnie i dodawał mi otuchy mój przyjaciel Wojciech Kuraś z Mikołajowic. Tłumaczył, że niedługo wrócimy z wojny.

Gdy dojeżdżaliśmy do stacji kolejowej w Złoczowie, usłyszeliśmy warkot samolotów a za moment ostrzelani zostaliśmy z karabinów maszynowych.

Ostrzelane zostały też wagony wypełnione amunicją. Padł rozkaz opuszczenia wagonów, ratowaliśmy się przed gradem pocisków ucieczką do lasu. Byli ranni i zabici. Sanitariusze mieli dużo pracy. Po kilkugodzinnym postoju ruszyliśmy i przez Zaczarnie dotarliśmy do Lwowa o drugiej w nocy.



Alojzy i Jan Zdebowie - spotkanie po latach rozłąki (Londyn).

W czasie parogodzinnego postoju we Lwowie zaopatrzone nas w suchy prowiant i wodę i po uformowaniu szyków ruszyliśmy w kierunku Złoczowa. Tam spotkałem swojego stryja Wojtkę Zdeba z Mikołajowic, z którym przywitałem się serdecznie. Wymieniliśmy informacje, on twierdził, że w sytuacji, gdy gonią nas Niemcy, należy zdobyć cywilne ubranie i uciekać w kierunku domu. Ze Złoczowa maszerowaliśmy w kierunku Brzeżan i granicy rumuńskiej. W czasie tego marszu napadła na nas grupa ukraińskich bojowników. Z potyczki tej wyszliśmy zwycięsko.

Z Brzeżan udaliśmy się do Sarnek Górnych i tu 17 września spotkało nas zaskoczenie i upokorzenie. Nasze dowództwo poinformowało nas, że idziemy do niewoli. Uformowano nas według województw, a od Rosjan usłyszeliśmy: *Domój pójdź*. Sarnki Górne to była wioska wrogo do nas nastawiona, były tu dobrze zorganizowane bandy ukraińskie uzbrojone w siekiery, widły i broń palną. Rosjanie stanęli w naszej obronie i nie pozwolili im na zaatakowanie nas. Ale z pobliskiego lasu strzelano do nas. Ratowałem się ucieczką i ukryciem w głębokim rowie, za mną uczynili to samo inni koledzy. Tu usnąłem, zmęczenie wzięło górę nad strachem i poczuciem zagrożenia. Obudziłem się zziębnięty, utraciłem poczucie czasu i przestrzeni. Szarejący świt pomógł mi dołączyć do macierzystej grupy.

Z Sarnek pomaszerowaliśmy do Kamieńca Podolskiego, gdzie, zakwaterowani w podłych warunkach, przebywaliśmy przez tydzień. Mówiono nam, że *bojcy dają czesne słowo, że domój pójdź*. Rzeczywistość okazała się inna, zapędzono nas na stację kolejową i pojechaliśmy do Równego a następnie do Żytynia, gdzie zakwaterowano nas w łagrze dla jeńców wojennych. Po kilku dniach, już jako niewolnicy, staliśmy się pracownikami drogowymi, robiliśmy asfalt na drodze Lwów - Kijów. Na przełomie 1939 i 1940 roku panowała ciężka zima, spadły olbrzymie śniegi, trwały tęgie mrozy. Nas wypędzono do odgarniania śniegu. Odmrażaliśmy sobie palce u nóg. Kwaterowaliśmy w budynku COP, bez ogrzewania z powodu braku opału. W temperaturze  $-6^{\circ}\text{C}$  trudno było o sen. Tu zachorowałem.



Po uroczystości ślubnej (Cambridge 1958)

Od lewej: Maria Zdeb, Władysław Gomułczak, Helena Zdeb, Jan Zdeb.



Przyjęcie weselne.

Od lewej: Władysław Gomułczak, Maria Zdeb, Jan Zdeb, Władysław Gajdur z małżonką.

W styczniu 1940 roku wróciliśmy do Równego. Od początku ubrany jestem w marynarkę i płaszcz wojskowy, w tym śpię i pracuję. Odzież cuchnie i jest czarna od brudu. Warunki zakwaterowania są fatalne, śpimy w nieogrzewanym pomieszczeniu na gołych deskach. Pracuję na nocną zmianę w młynie, a następnie przy tłuczeniu młotkiem kamieni. Należało bardzo się śpieszyć, by wykonać dzienną normę, co skrupulatnie sprawdzano. Gdy norma nie została wykonana, o jedzeniu trzeba było zapomnieć.

Wspomnę mych przyjaciół doli i niedoli na tej nieludzkiej ziemi, którym zwierzałem się i którzy mi pomagali. Byli to: Kowal, Wróbel z Łysej Góry i Piotr Tykiela w randze plutonowego z Niepołomic. Nie mam od nich żadnych wiadomości, nie wiem czy wrócili z wojny do Polski w 1946 r. Natomiast mój najlepszy przyjaciel Bystron z Gnojnika zmarł później w Guzar na tyfus płamisty. Nie wiem czy ktoś zawiadomił o tym jego rodzinę w Polsce.

Z Równego przeniesiono nas do Sapożyna i zakwaterowano w budynku COP w warunkach najgorszych, jakie sobie można wyobrazić. Do pracy dowożą nas lorami (samochodami ciężarowymi), po 30 niewolników stłoczonych w błotnistej mazi. Aby dojść do punktu zbornego, z którego odjeżdżała lora, trzeba było iść w błocie po kolana. Wniesione na obuwiu błoto przymarzało wraz z obuwiem do podłogi. Gdy podczas marszu któryś z niewolników chciał obejść błoto, dostawał kolbą karabinu w plecy albo w nogi. Okrutni byli dla nas *bojcy* (NKWD-ziści), nieraz bez przyczyny strzelali, by zranić albo nawet zabić. Do pracy przy tłuczeniu kamienia codziennie pokonywaliśmy odległość około 40 km, co wymagało godziny jazdy. Żywność dla nas darowały inne obozy, a najczęściej pochodziła od Polaków, którzy te ziemie zamieszkiwali. Specjaliści minowali pobliskie skały, a myśmy tłukli kamienie młotkami na grys. W miarę upływu czasu przyuczałem się do różnych zawodów, nawet do budowy mostów.

Mój dobry przyjaciel z Mikołajowic Piotr Solak w 1941 roku opuścił Sapożyn z zamiarem dotarcia do domu. Już po wojnie okazało się, że miał szczęście, do domu wrócił, był odważniejszy ode mnie. Ucieczka w pojedynkę lub w małej grupie była bardzo niebezpieczna, bo bandy ukraińskie napadały i podrywały gardła. Wielu śmiarków przypłaciło swą odwagę życiem.



Maria i Jan Zdebowie z wnuczkami (Cambridge 1963)

W marcu 1941 roku pomaszzerowaliśmy do Wójtowic, małej wioski oddalonej tylko o 40 km od polskiej granicy. Zatrudniono nas tu przy odgarnianiu śniegu i rozładunku kamienia z wagonów. Normą dzienną było rozładowanie przez dwu niewolników dziesięciu wagonów. Ciężka i mozolna była to praca, za którą dostawaliśmy kilogram chleba i garnek podłej herbaty, a najczęściej przegotowanej wody.

Zbuntowałem się i było mi wszystko jedno, co ze mną zrobią. Dostałem od NKWD-zisty kilka uderzeń kolbą i zostałem odprowadzony do ciupy. Krzyczeli na mnie: Symulant! Po paru dniach głodówki doszedłem do wniosku, że lepiej ciężko pracować niż przymierać głodem. Strażnik aresztu złożył na mnie skargę, że umyślnie zniszczyłem buty, aby nie pracować. Dostałem dodatkowo pięć dni aresztu, ale zmiennik tego strażnika okazał się lepszym człowiekiem, zwolnił mnie przed czasem i w tych podartych butach poszedłem do pracy.

Z Wójtowic wyjechaliśmy do Teofipola. Tam pracowaliśmy przy budowie lotniska. Pracowała tu ogromna ilość ludzi, niewolników i cywilów. *Bojcy* mówili, że wkrótce może być wojna.

W 1941 roku już wiosną nad lotniskiem w Teofipolu pojawiają się niemieckie samoloty, które ostrzeliwują nas, Rosjan i zgromadzony sprzęt. Obawiam się, że Niemcy zepchną nas w głąb Rosji, a ja stracę kolegów i przyjaciół, od których tak wiele się nauczyłem. Coraz wyraźniej słyszeć było nocą pomruki niemieckich dział. Którejś nocy w popłochu zarządzono wymarsz, NKWD-ziści wyjaśniali, że *skoro budiet Niemiec*. Dostałem bolesne lumbago, nie mogłem iść, koledzy krzyczeli: Jasiek ratuj się! Nie dawaj poznać po sobie, że nie możesz iść, bo cię zastrzelą! Na moją prośbę i za wstawiennictwem kolegów u naczelnika zabierają mnie na wóz. Marsz z Teofipola aż do Dniepr, do Złotonoszy trwał 18 dni.

Na inną grupę jeńców, maszerującą przed nami, eskadra samolotów niemieckich urządziła sobie polowanie, ostrzeliwując ich z broni pokładowej. Zginęło 40 osób. Przez dzień i noc pokonywaliśmy około 45 km. Pod wieczór jedynym posiłkiem było 300 gramów chleba. Po paru dniach poczułem się lepiej i choć ślaniałem się na nogach musiałem ustąpić miejsca na furmance innym. W czasie tego marszu dostałem kurzej ślepoty a buty obtarły mi nogi do krwi.

Chcąc ugasić pragnienie odważniejsi uciekali z szeregów, aby z błotnistej mazi w kałużach wysać nieco wody. Służbiści NKWD strzelali do nich, byli ranni. Gdy któryś z moich sąsiadów w marszu wpadł pod nadjeżdżający czołg, oprawcy z NKWD nie reagowali, czołgista zatrzymał czołg i stanął w obronie jeńca. Odrywaliśmy nawet kieszenie od płaszczy i marynarek, aby w marszu nie ciążyły. Kto nie wytrzymał kondycyjnie, ginął, jeśli nie z rąk NKWD, to od grasujących band.

Gdy przy stacji kolejowej w Złotonoszy staliśmy w błocie i z tysiącami wszy w ubraniach, wydawało się nam, że to już kres naszej podróży. Padały deszcze, byliśmy doszczętnie przemoczeni i zziębnięci. Był to ósmy z kolei dzień

ciąglego marszu. W marszach i postojach przeżyliśmy wiele zniewag i upokorzeń ze strony bezkarnego NKWD, obrzucani byliśmy obelgami: Wy bandyci! Pasożyty z Polski! Po kilkugodzinnym postoju zobaczyliśmy na horyzoncie zbliżający się do nas pociąg, uformowany z wagonów krytych i otwartych. Okazało się, że pociąg przeznaczony był dla nas. Na rozkaz zajęliśmy wagony, mnie udało się dostać do wagonu krytego. Naszym marzeniem było wysuszyć przemokniętą odzież i ogrzać się. Rozlokowaliśmy się na podłodze wagonu, wszy zaatakowały nas jeszcze bardziej.

Drzwi wagonu zamknięto od zewnątrz, pociąg ruszył i zasnąłem jak i wszyscy współtowarzysze. Nawet nie wiem jak długo jechaliśmy, bo jeszcze sennych obudził nas łoskot zatrzymującego się pociągu. Przez jedyne małe okienko przeczytaliśmy nazwę stacji: Starobielsk.

Padł krzykliwy rozkaz opuszczenia pociągu i pod eskortą NKWD pomaszzerowaliśmy do cerkwi. Tu uderzył nas potworny smród, ściany były brudne i spryskane krwią, na podłodze walały się fragmenty odzieży i obuwia. Pluskwy chodziły po ścianach. Z trudem rozpoznałem znajomego stolarza z Tarnowa, który licząc na szybsze zwolnienie zarejestrował się jako Niemiec. Moja z nim przyjaźń miała początek w 1939 roku, gdy jeszcze w towarzystwie Kowala mocno popiliśmy w którejś restauracji tarnowskiej. Zarządzono kąpiel i bicie wszy. Zauważyłem zmianę w zachowaniu się NKWD. Pytali nas czy znamy gen. Sikorskiego. Nie wiedzieliśmy co to miało znaczyć, podejrzewaliśmy jakiś podstęp.

Po dwu dniach przeznaczonych na zakwaterowanie i ponowne dokonanie spisów, wszystkich jeńców wysłano do pracy przy wykańczaniu lotniska. Zauważyliśmy, że Rosjanie i nawet zawsze źle do nas nastawieni *bojcy* zmienili do nas stosunek. Okazało się później, że oni wcześniej niż my wiedzieli o układzie między gen. Sikorskim a Związkiem Sowieckim zawartym 30 lipca 1941 roku. Gen. Anders wypuszczony został z więzienia i mianowany dowódcą armii polskiej w ZSRR. Pobyt w ciężkim więzieniu na Łubiance w Moskwie trwający 22 miesiące zapewne uratował go przed losem, jaki spotkał polskich oficerów w łasku katyńskim.

Podczas pracy na lotnisku z trudem poznałem Staszka Solaka z Mikołajowic i Kulmana ze Skrzyszowa koło Tarnowa.

Zmiana stosunku Rosjan do nas zaczęła się potwierdzać. Dostaliśmy po 500 rubli nagrody za dwa lata katorżniczej pracy. Dla wielu te pieniądze nic nie znaczyły, bo nie było możliwości kupna czegokolwiek. Ja radziłem sobie dobrze, handlowałem z cywilami i niewolnikami, przy sobie żywiłem trzech chłopaków.

Przed wyjazdem do Tocka już pozwolono nam używać polskich symboli narodowych, flag i orzełków na czapkach. Polskie flagi rozwiesiliśmy na wagonach, przyjechała orkiestra i grała „Jeszcze Polska”. Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło i łzy potoczyły się z oczu. Nie wstydziłem się tych łez, nie mnie jednemu się to zdarzyło. Ktoś podjął drżącym głosem słowa hymnu „... póki my żyjemy”. Przyłączyli się wszyscy i drżącym głosem śpiewali polski hymn. Byliśmy podbudowani i dumni, że ta Polska żyje, póki my żyjemy, że jesteśmy w mundurach i w furażerkach z orłami. Wtedy silniej moje myśli kierowały się do ukochanej rodziny i Ojczyzny. Miałem nadzieję, że to moment przełomowy, i że wreszcie powrócimy do domów.

W Tocku dostałem awans na gońca i miałem większe możliwości prowadzenia handlu. Za fufajkę dostałem 50 rubli i litr miodu, za fasowane prześcieradła i koce dostawałem cukier, chleb, rybę, za mydło - ryż. Na przełomie 1941 i 1942 roku wyjechaliśmy z Tocka pociągiem do Guzar w Uzbekistanie. Było bardzo zimno, mróz osiągał -50°C. Po drodze widzieliśmy pociągi wypełnione polskimi żołnierzami. Wielu biegło po peronach i torach. Byli to ci, którym uciekły pociągi, lub którzy szukali swych najbliższych. Rodziny szukały ojców, ojcowie swych rodzin, jeszcze inni chcieli zdobyć choć łyk *kipiotku* (gotowanej wody).

Ci, co przybywali do Uzbekistanu z północy, uważali że to południe jest dziwne. Na peronach stacyjek często widzieli gipsowe pomniki Lenina i Stalina, zawsze jednakowe, odlane z tej samej formy. Stalin jedną ręką przysłał oczy „patrząc w świetlaną przyszłość komunizmu”, a drugą trzymał założoną za plecy. Mówili, że patrzy, gdzie kolejka po chleb jest najkrótsza. Radość naszą zakłócał głód i pragnienie. Na stacjach, gdzie pociąg się zatrzymywał, nie można było niczego kupić.

W Guzar przydzielono mnie do kompani sanitarnej. Szpital był w meczecie, młodzieńca, może siedemnastoletnia Uzbeczka nosiła nam mleko i posiłki. Sprzedając cywilom herbatę zdobyłem wino. Było cenne, bo działało odkażająco. Panował tyfus, w całym obozie codziennie umierało 25-30 ludzi. W jednym z namiotów na dwunastu ludzi zmarło ośmiu. Przeniesiono mnie do Kermine. Tu znowu panowała czerwotka, dużo umierało. Pracowałem w parowni odzieży (120°C), ale organizm mój był bardzo osłabiony, zachorowałem na czerwotkę i leżałem od 9 lipca do 5 sierpnia.

Właśnie 5 sierpnia zostaliśmy zaszczytzeni wizytą małżonki majora Jakubowskiego. Zapytała czy chcemy jechać do Persji. Warunkiem była gotowość do wymarszu następnego dnia. Ja odpowiedziałem, że tak. Wyszedłem z łóżka, nogi miałem sztywne, nie mogłem chodzić. Wiele zawdzięczam Piotrowi Koszykowi z Nowego Sącza, który miał pieniądze i pomógł mi zachować zalecaną przez lekarza dietę i w miarę właściwie się odżywiać. Po tej ciężkiej chorobie marsz do stacji

kolejowej sprawił mi wiele trudności. Brakowało nam jedzenia i płynów. Sprzedałem swą marynarkę za menażkę słodkiej wody. Ludzie padali z pragnienia. Tych, którzy po kolejnym upadku nie mogli się już podnieść, zabierała ciężarówka jeżdżąca tam i z powrotem po drodze, którą szliśmy.

Pociągiem pojechaliśmy do Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim. Tam załadowaliśmy się na statek węglowy, którym mieliśmy popłynąć do Persji. Zawarczały motory, potrząsnęło tym podniszczonym statkiem, czekaliśmy czy ruszy. Odczepiono liny cumujące go do nadbrzeża, podniesiono kotwicę i statek powoli popłynął. Opuściliśmy ten przeklęty kraj, kraj naszej męczarni, cierpienia, biedy i niesprawiedliwości. Malały na naszych oczach statki w porcie, dźwigi, budynki magazynów.

Jeszcze nie dotarło w pełni do naszej świadomości, że po dwu latach wreszcie opuszczamy Rosję, że to już, że na pewno. Na tej nieludzkiej ziemi pozostały tysiące rodaków bez szans na ratunek. Ale pozostał też z własnego wyboru płk. Berling, dowódca bazy ewakuacyjnej w Krasnowodsku, sprzedał się Stalinowi i ten wkrótce awansował go na generała.

Od czasu do czasu słyszałem głosy sanitariuszy: Ustąpić miejsca! A za moment ledwie słyszalny plusk fali morskiej oznajmiał o kolejnym pochówku w morzu. Zaczęło świtać, kiedy koledzy wypatrzili brzeg perski. Przy barierce okrętu zaraz zrobiło się tłoczno. Palmy, pomarańcze... kto wie, co w tej Persji rośnie. Oczu od horyzontu nie odrywaliśmy. To już nie Rosja, tam wolność, żarcie, ubikacje, mydło, tam też jest Bóg. Krótka była lista naszych marzeń i skromne wymagania po dwu latach piekła.



Spotkanie rodzinne w Cambridge (sierpień 1996)

Stoją od lewej: Alojzy Zdeb, Helena Gomulczak, Władysław Gomulczak. Siedzi Maria Zdeb.

Do portu było jeszcze daleko, około 30 km, statek włókł się i włókł. Wpłynęliśmy wreszcie w kanał zamknięty z obu stron hałdami piasku, magazynami, zbiornikami z ropą naftową. Wreszcie dopłynęliśmy do zalewu dość rozległego, w którym zacumowane były statki sowieckie i perskie. Po godzinie byliśmy na lądzie i w kioskach portowych. Inne tu życie, powietrze pachnące, kupuję jajka („warone”), ciastka, mleko. Znajomi kupują po 20 jajek i zjadają na jeden raz, ja tylko tuzin. Dostajemy tu żołd w wysokości 13 tumanów. Za jednego tuma można kupić tuzin jaj. Stare podarte ubrania pali się, dostaliśmy nowe, brytyjskie, koszule z krótkim rękawem i krótkie spodnie a także bieliznę.

Z Teheranu wyjeżdżaliśmy do Iraku, tu potworne upały 45°C, umiera dużo ludzi. Choroba nie omija i mnie, dostaję malarii. Mam gorączkę 40 stopni i leżę dwadzieścia dni. Spotkałem się z Władkiem Gajdurem z Mikołajowic. Tak źle wyglądałem, że nie poznał mnie od razu, dopiero, gdy odezwałem się: Wladek, to ja Jasiek! Rzuciliśmy się sobie w ramiona i przez chwilę pozostaliśmy w bezruchu. Przez kilka dni spotykaliśmy się, aby wspominać i wzajemnie sobie pomagać.

W Iraku znowu przydzielono mnie do kompanii sanitarniej. Ćwiczyć jednak nie mogłem. Z konieczności miałem wolne i leżałem w namiocie (kanekinie). Po wyleczeniu pełniłem służbę w 11 PCU, mieliśmy dużo ćwiczeń, szkolono nas przy obsłudze dział. Miałem jednak momenty załamania, brakowało mi sił, nie nadążałem za innymi. Stałem przed komisją lekarską i tłumaczyłem swoje osłabienie przebyciem trzech poważnych chorób, otrzymałem kategorię O. Zostałem przydzielony do kompanii transportowej.

W Iraku lorami przewiezieni zostaliśmy do Bagdadu. Kierowcami byli Irakijczycy, których podziwiałem za zrzeczność z jaką prowadzili lory (ciężarówki). Szoferzy co chwilę przysztawali, bo czerwona dziesiątkowała nasze szeregi. Znowu zajmowaliśmy się pochówkami. Wreszcie dojechaliśmy do Bagdadu. Tu spotkałem Jaśka Lenika z Wojnicza wychodzącego z dość ekskluzywnego lokalu. W pośpiechu zamieniłem z nim tylko kilka zdań, był zachwycony luksusem.

W roku 1943 wyjechaliśmy do Palestyny. Obozowaliśmy na pograniczu Jerozolimy i Betlejem. Organizowaliśmy wycieczki do świątyń i domów towarowych. Widać było bogactwo, ale też i skrajną biedę. W Tel Avivie zorganizowano zabawę, pomagałem w kuchni. Mijał dzień po dniu. W jedną z niedziel byłem na wycieczce w Tel Avivie, podziwialiśmy zabytki i budowle, jakich dotąd nigdzie nie widzieliśmy.

Z Izraela przenieśliśmy się do Egiptu, gdzie dużo wypoczywaliśmy, było wspaniałe jedzenie. Czekaliśmy na długą podróż do Italii. Wyjechaliśmy z Port Saidu 1 stycznia 1944 roku zaopatrzeni w nowoczesną broń i pełny ekwipunek. W pobliżu Krety dostaliśmy się pod niemiecki ogień artyleryjski. Niemcy wówczas okupowali wyspę. Bez strat oddaliśmy się od Krety. Aby uniknąć ataków, krążyliśmy po Morzu Śródziemnym przez siedem dni. Dnia 7 stycznia wieczorem przypłynęliśmy do portu w Taranto. Mnie wyznaczono do służby przy rozległych magazynach broni i żywności. Tutaj było nam chyba najlepiej, dowództwo wizytowało nas często, dostawaliśmy dobrze jeść, wypoczywaliśmy. Co jakiś czas organizowano nam odczyty z ciekawymi wiadomościami o losach Polski i klęskach niemieckiej armii.

Z Taranto przenieśliśmy się lorami na północ do Campobasso, gdzie stacjonowaliśmy czternaście dni. Celem postoju było zapoznanie nas z miejscowymi obyczajami, poznanie terenu i włoskiego języka. Spaliśmy na ogół w lorach. Po drugiej nocy, zszedłem z lory i zacząłem się myć w śniegu. Zobaczyła to Włoszka i krzyknęła do mnie: *Wemire cossa!* (chodź do domu!). U tych gościnnych Włochów spędziłem dwa tygodnie jak we własnym domu, zostałem odżywiony i oprany. Ci Włosi nazywali się Vicino Pascale. Gdybyś mógł synu ich odszukać listownie, podziękuj im za dobre serce.

Z Campobasso wyjechaliśmy do miejscowości Isernia, gdzie przygotowaliśmy się do walki o Monte Cassino. Odbywały się szczegółowe badania stanu zdrowia żołnierzy i sprawdzanie listy gotowych do walki. Ja dostałem przydział do 22 kompanii transportowej. Jeździliśmy w 30 chłopa do Benevento, gdzie ze składów pobieraliśmy amunicję i benzynę i przewoziliśmy do magazynów w Isernii. Co drugą noc mieliśmy służbę, brakowało ludzi.

Cały korpus przed bitwą o Monte Cassino liczył 70 tysięcy ludzi. Oprócz Polaków byli Białorusini, Ukraińcy, żołnierze różnych wyznań, katolicy, prawosławni, muzułmanie, Żydzi. Walka rozpoczęła się o godzinie 11-tej w nocy 11 maja 1944 roku. Przystąpiło do niej około 70 tysięcy żołnierzy wyposażonych w różnorodną broń pancerną, 2000 dział i tysiące czołgów. Istne piekło trwało do 18 maja, wielu zginęło.



Grób Jana Zdeba w Cambridge.

W dniu 18 maja 1944 roku żołnierze II Korpusu dowodzonego przez gen. Władysława Andersa zatknęli biało - czerwony sztandar na ruinach benedyktyńskiego klasztoru na Monte Cassino. Walki o masyw górski Cassino trwały już od 1943 roku. Bez powodzenia walczyli Brytyjczycy, Hindusi, Amerykanie i Kanadyjczycy. W ostatniej fazie bitwy to jest od 11 maja przez siedem dni walczyła Dywizja Strzelców Karpackich i 5 Kresowa Dywizja Piechoty pod dowództwem generałów Bronisława Ducha i Nikodema Sulika. Oddziały polskie walczyły w ramach 8 armii brytyjskiej. Po krwawych walkach Polacy przełamali obronę niemiecką ponosząc w tej walce znaczne straty w ludziach i sprzęcie. Zginęło 942 żołnierzy i oficerów a około 3 tysięcy zostało rannych. Świadectwem tamtych dni jest cmentarz poległych, na którym rokrocznie gromadzą się kombatancki i ich rodziny oraz przedstawiciele Polonii z wielu krajów świata.

Ta bitwa była istnym piekłem. Po wielu dniach walki, już na klasztornej górze, mieliśmy jeszcze tyle siły, by miotaczami ognia zmuszać Niemców do opuszczenia bunkrów. Trwały walki wręcz. Niemiec uderzał Polaka bagnietem, a drugi Polak zabijał Niemca kamieniem. Przewoziliśmy setki rannych i zabitych. Na klasztorze polska flaga została zatknięta przez Polaka. Byliśmy zwycięzcami, staliśmy się bohaterami, podziwiali nas Anglicy, Amerykanie a Włosi byli nam wdzięczni.

Po kilku dniach wyjechaliśmy do Compobasso na wypocznik. Tu spotkałem znajomego o nazwisku Czupryna (spod Wątoka) w okolicznościach niezwykłych, bo ujął się on za polskim żołnierzem bitym przez Anglików. Włączyłem się do awantury i resztę dnia spędziłem w areszcie.

Z Compobasso przenieśliśmy się do Ancony, gdzie wypędzenie Niemców przyszło nam z łatwością. W nagrodę za dobre sprawowanie przydzielony zostałem na kurs szoferski, z którego jednak zrezygnowałem, bo nigdy nie miałem zdolności do mechaniki. Zostałem przydzielony do sądu polowego jako goniec, moim dowódcą był Sobotkowski.

W kolejnym miejscu postoju w Mottoli zapisałem się na wyjazd do Polski. W porcie w dniu 12 marca 1946 roku doszło do strajku, chcieliśmy otrzymać godną odprawę finansową oraz nowe ubrania. Strajku nie wygraliśmy, bo byliśmy podzieleni. Większość wybierała się na zachód, do Szkocji, Kanady i Wielkiej Brytanii. Ja zmieniłem decyzję, chcę jechać do Szkocji. Po prostu bałem się spotkać z tymi, którzy zadali mi tyle cierpienia a teraz oswobadzają Polskę i pewnie w niej pozostaną. Moje skrupuły związane z tą decyzją rozwiązał później list, jaki otrzymałem w 1950 roku od Władka Klimeckiego w Glasgow. Napisał mi, że znany nam Swoboda jest w kraju szyszką, a jego dzieci przebywają w pensjonatach dla wyższej sfery bolszewickiej. Swoboda wychwalał porządek i demokrację w Polsce i odgrażał się majorowi Sobotkowskiemu, nawet twierdził, że ma dla niego przygotowane więzienie. Ktoś z naszych po przybyciu do kraju, faktycznie został aresztowany.

Popłynęliśmy do Szkocji, był czerwiec 1946 roku. Z Glasgow zostaliśmy przetransportowani do obozu repatriackiego dla wyjeżdżających do Polski. W Szkocji miałem możliwość otrzymania stałego zatrudnienia, zajmuję się handlem, wysyłam paczki do rodziny w Polsce. Do końca 1946 roku musimy podjąć stałą pracę.

Rozjeżdżamy się po całej Anglii, czekała na nas wszędzie ciężka praca. Ja trafiałem do zbierania ziemniaków za pługiem. Taką to nagrodę za trudy i poniewierkę wojenną zgotowali nam Brytyjczycy. Dwa lata pracuję w Cais Colidge (restauracja) przy myciu talerzy, kolejne dwa lata i 6 miesięcy w Addebrooks Hospital. Z powodu niskich zarobków zwalniam się i wracam do Cais Colidge, gdzie dzięki znajomemu z armii zatrudniam się w Garden House Hotel i tu pracuję do 1957 roku. Niczego nie dorobiłem się, co zarobiłem pochłaniały paczki wysyłane do rodziny w Polsce.

Mój przyjaciel Włodek Klimecki tuż po zdemobilizowaniu w dniu 24 lutego 1949 roku i zakwaterowaniu w Brighton koło Yorku zachorował na zapalenie płuc. Przez cały czas choroby dostawał 5 szylingów tygodniowo, odprawę 14 funtów wydał wcześniej na paczki do Polski. Pisał do mnie o swojej ciężkiej sytuacji. Zamierzał pracować w magazynach wojskowych, gdzie płacili 70 szylingów na czysto. Tam pracował major Niemiro.

Wreszcie nadszedł dla mnie czas szczególny. Dnia 25 lipca 1957 roku wyjeżdżam do Londynu na spotkanie z synem Alojzym, którego nie widziałem 18 lat. Oczywiście nie poznałem go, ale syn nie miał trudności. Już z daleka wyciągnął do mnie ręce, rzuciliśmy się sobie w objęcia.

Syn spisał moje wspomnienia z wojennej tułaczki z nadzieją, że nadejdą w Polsce czasy, kiedy będzie można je przekazać innym, bez ryzyka narażenia się na represje ze strony władzy.

## Opowiada Maria z Jarosów Zdeb

W 1958 roku odbył się ślub mojej córki Heleny. Przybył na ślub Władysław Gajdur z małżonką z Londynu. Jako żona pragnę dodać, że dzięki Opatrzności Boskiej przeżyliśmy, podczas gdy inni ginęli w te straszne lata okupacji niemieckiej. Nagrodą dla mnie było to, że mogłam w 1957 r. przyjechać do męża i szczęście się do mnie uśmiechnęło, gdy córka dała mi wnuczki, którymi mogłam się opiekować. W Wielkiej Brytanii pracowałam wspólnie z mężem. Uniwersytet w Cambridge dał nam mieszkanie. Ale zdrowie męża nadwyrężyła wojenna tułaczka. Jego chorobę i śmierć w 1966 roku przeżyłam najboleśniej. Mąż spoczywa na cmentarzu komunalnym w Cambridge wśród kolegów - żołnierzy i cywilów.

P.S.

Historia moich Rodziców nie byłaby pełna bez wspomnienia o ofiarności Matki w niesieniu pomocy potrzebującym. Pomimo iż w 1939 roku została sama z czworgiem małych dzieci bezinteresownie pomagała chorym i niedołącznym. Była w ciągłym kontakcie z ks. proboszczem Janem Rzepką, od którego otrzymywała wiadomości o osobach potrzebujących pomocy. Jej brat, Józef Jarosz z Wojnicza pamięta jak co najmniej raz w tygodniu, z narażeniem życia swego i dzieci udawała się pieszo z Mikołajowic do tarnowskiego getta niosąc żywność dla głodujących Żydów. Za ten trud zasłużyła sobie na pamięć i wdzięczność. (A.Z.)